

Cisza przed burzą oburzonych

11 listopada 2011

Na zabetonowanie polskiej sceny politycznej narzeka wielu. Zazwyczaj jednak w tych utyskiwaniach nie sięga się do społecznych korzeni zjawiska, lecz zatrzymuje na parlamentarnej powierzchni.

W istocie głównym problemem jest nie to, że scena partyjna pozostaje zamknięta na nowe formacje czy nawet na nowe osobowości w formacjach już istniejących. Znacznie gorsze jest to, iż układ polityczny zdaje się być zamknięty na nowe wyzwania i narastające problemy, które wykluwają się obecnie i ukażą w całej okazałości już niebawem. Wzrastające rozwarstwienie dochodowe, rosnąca i coraz bardziej samoświadoma warstwa prekariatu, szybki przyrost liczby osób wymagających opieki ze względu na podeszły wiek – to tylko kilka zjawisk, które mogą rozsadzić społeczny ład. Niestety ani polityczny kartel czterech partii, ani „anty-establishmentowy” Ruch Poparcia Palikota nie stawiają tych zagadnień w centrum uwagi.

PODMIOTOWO WOBEC WYZWAŃ

Dla przykładu, rząd Tuska dopiero wtedy pochylił się nad mizernym wsparciem dla osób zajmujących się niepełnosprawnymi krewnymi, gdy protestowali oni przed Kancelarią Premiera. A i tak nie wiadomo, jakie konkretne zmiany to przyniesie. Tymczasem nieunikniony wzrost popytu na usługi opiekuńcze – przy niewielkim zaangażowaniu w to władz publicznych – wykluczy z możliwości efektywnego uczestnictwa w rynku pracy mnóstwo osób (które przejmą opiekę nad bliskimi). A co więcej – w sposób trwały zmniejszy ich kapitał społeczny i zdrowotny oraz kompetencje zawodowe. Podobnie jest w przypadku pozostałych zasygnalizowanych problemów.

Czy państwo polskie powinno tylko reagować na już ewidentnie

zaistniałe i wyartykułowane problemy, czy samo – oczywiście po konsultacjach z partnerami społecznymi – identyfikować je zanim narosną oraz proponować rozwiązania systemowe i przekonywać do tych rozwiązań kolejne grupy? W pewnych kręgach sporo mówi się o podmiotowości polskiego państwa. Być może z ową podmiotowością mielibyśmy do czynienia właśnie wówczas, gdyby walczące o władzę i jej utrzymanie partie prezentowały wizje rozwoju i w sposób refleksyjny oraz elastyczny próbowały je realizować. Ruchy „uliczne” czy inne formy społecznego nacisku bywają pożyteczne, ale trzeba mieć świadomość, że nie wszystkie grupy będące w trudnej sytuacji, potrafią się zorganizować odpowiednio sprawnie i w porę. Jeśli władza publiczna nie okaże się podmiotowa i nie upomni się o nie, czeka je degradacja, co odbije się na całej strukturze społecznej.

Widać to na przykładzie problemu prekariatu. Rosnąca liczba osób pozostających na marginesie rynku pracy, bez żadnej stabilności, skazana na życie z dnia na dzień, przyniesie w przyszłości gigantyczny kryzys systemu zabezpieczenia społecznego. Zdewastuje też strukturę demograficzną – obecna sytuacja hamującą działa na świadome decyzje prokreacyjne. Polskie życie polityczne przez długi czas ignorowało to zjawisko. O prekariacie (choć już niekoniecznie o jego dalekosiężnych konsekwencjach) politycy zaczęli mówić dopiero, gdy sprawa „wyszła na ulice”. Nie tylko polskie, ale i zagraniczne. Na krótko przed wyborami opublikowano rządowy raport „Młodzi 2011”, w którym dostrzeżono problem „umów śmieciowych”, a wówczas media głównego nurtu zatębiły: „Boni mówi prekariat!”.

Cóż, lepiej późno niż wcale, ale pokazuje to, jak bardzo myślenie władzy nie nadąża za przemianami społecznymi. W raporcie „Polska 2030”, gdy mowa o zasadniczych wyzwaniach rozwojowych w perspektywie dwóch najbliższych dekad, ten motyw jest pomijany, zaś o uelastycznieniu rynku pracy mówi się wyłącznie w superlatywach i postuluje przyspieszenie tego

procesu. Być może i w raporcie o młodych pominięto by ten problem, gdyby rządowi doradcy nie uświadomili sobie, że jego omówieniem można kupić sobie poparcie młodego pokolenia. To właśnie ono skutków prekaryzacji doświadcza najmocniej już dzisiaj, a jeszcze mocniej odczuje je w obliczu choroby czy starości, pozostając wówczas bez zabezpieczenia.

NIERÓWNY GRUNT POD KRYZYS

Politycy w końcu wspominający o prekariacie nie odkrywają żadnej Ameryki. Tymczasem najwyższy czas, by odkryli i przemyśleli prawdziwą Amerykę, a zwłaszcza tę jej część, która – pod nazwą Ruchu 99% – prostuje przeciwko drastycznej polaryzacji społeczeństwa. Póki co rząd jednak kwestie nierówności bagatelizuje, choć – według raportu OECD z 2011 r. – Polska osiągnęła najwyższy wśród krajów rozwiniętych współczynnik Giniego, jeśli chodzi o dochody przed opodatkowaniem i transferami. Jesteśmy też na czwartym miejscu od końca (za nami tylko Chile, Meksyk i Turcja) pod względem nierówności w dochodzie do dyspozycji. [1]

Jest to o tyle ważne, że poniekąd to nierówności leżą u podstaw obecnego kryzysu finansowego i gospodarczego na świecie. Jakiś czas temu podczas dyskusji z cyklu „Kapitalizm – Armagedon na co dzień?” ekonomiści Piotr Kuczyński i prof. Jerzy Osiatyński zgodzili się, że praprzyczyną kryzysu były właśnie rosnące nierówności i deprywacja najuboższych. Spowodowały one bowiem, że część osób w coraz bardziej spolaryzowanych ekonomicznie społeczeństwach konsumpcyjnych nie była w stanie zaspokajać swych potrzeb na godziwym poziomie, wobec czego – aby uniknąć konfliktu społecznego – politycy deregulowali system finansowy.

Pozwalało to na krótką metę zaspokoić potrzeby dzięki mechanizmowi kredytowemu, który jednak musiał się w końcu zawalić. Pacyfikowało to społeczne niezadowolenie, choć w dłuższej perspektywie jedynie zwiększyło nierówności, nie mówiąc o perturbacjach ekonomicznych. Konsumpcję można było

oczywiście próbować wzmacniać w inny sposób, np. inwestując w tworzenie miejsc pracy na wzór keynesowski, ale ta doktryna popadła w ostatnich dekadach w niełaskę ekonomicznych gremiów i mainstreamowych mediów. Kryzys, który nadszedł, dopiero pokazał, że niesłusznie.

Czy Polak okazał się mądry po szkodzie? Skądże. Rząd nie ruszył fundamentalnego problemu nierówności społecznych. Gorzej – jak wynika z raportu Centrum Analiz Ekonomicznych, partie rządzące w ostatniej dekadzie (nie tylko ostatnia z nich) poprzez swoją politykę podatkowo-transferową przyczyniły się do dalszego wzrostu nierówności. Obniżanie CIT, zniesienie górnej stawki podatkowej, zmniejszenie składki rentowej, zniesienie podatku spadkowego, utrzymanie ulgi rodzinnej (faworyzującej najbogatszych, a wykluczającej z dostępu najuboższych) oraz brak waloryzowania przez lata kwot dochodów uprawniających do korzystania ze świadczeń rodzinnych i pomocy społecznej – to tylko niektóre z działań, które podejmowały partie będące u władzy: od SLD, przez PIS, po PO.

Toteż jeśli partie i komentatorzy mówią o konieczności wychodzenia z kryzysu (nawet kosztem cięć w wydatkach publicznych), to powinno sięgnąć się do instrumentów kształtujących strukturę społeczną. Obecny kryzys nie jest przejściową chorobą, której świat nabawił się przypadkiem i w krótkim czasie może z niej wyleczyć, oddziałując tylko na skutki. To raczej objaw przewlekłej choroby, która trapi świat od dłuższego czasu, a rosnące nierówności są niewątpliwie jednym z głównym czynników ryzyka mogących ją pogłębić.

W przypadku młodych oburzonych, głównym problemem nie jest nawet popadanie w kredytową pułapkę, lecz to, że w swojej sytuacji życiowej i zawodowej nie mają szans nawet na kredyt. Co więc mają? Chciałoby się rzec – nic (do stracenia) prócz kajdan, które zmuszają ich do wykonywania zajęć coraz mniej stabilnych i gorzej płatnych oraz dalekich od posiadanych kwalifikacji i aspiracji. Rodzi się ogromny potencjał buntu, który może wybuchnąć, gdy ludzie ci przedwcześnie ulegną

wypaleniu i nie będą już w stanie wykonywać nawet „śmieciowej” pracy.

PALIKOT, CZYLI BACKFLASH DLA PREKARIATU

Procesy te bardzo wyraźnie rysują się na horyzoncie nieodległej przyszłości i wydawałoby się, że już teraz powinny być wyartykułowane w sferze politycznej. Jeśli nie przez dominujące partie, to przez ruch z zewnątrz, który powinien cieszyć się wysokim poparciem. Tymczasem, jak się okazało, jedynym ruchem antyestablishmentowym, którego poparcie poszybowało niedawno w górę, okazał się Ruch Poparcia Palikota. Formacja wyrazista w sferze obyczajowej, ale nie bardzo w sferze gospodarczej.

W okresie przedwyborczym Centrum Analiz Ekonomicznych próbowało oszacować skutki zapowiadanych programów poszczególnych partii. Wynikało z tego, że mglisty program RPP jest w porównaniu z innymi najkorzystniejszy dla najbogatszych warstw, a najmniej korzystny dla uboższych. [2] Ostatnio wprawdzie środowisko Palikota puszcza oko do socjaldemokratycznego wyborcy, ale widać w tym brak całościowej, wcześniej przygotowanej wizji. Co więcej, wśród parlamentarzystów, którzy dostali się do parlamentu z tejże listy, przeważają drobni przedsiębiorcy. Niekoniecznie zatem muszą być w pierwszym szeregu tych, którzy chcieliby rozwiązywać wspomniane problemy społeczne.

Jeśli Palikot przeora debatę publiczną, to tylko na osi kulturowej. Choć i tu można się zastanawiać, czy będzie to efekt głęboko przemyślanej wizji, czy jedynie wczytanie się w już istniejące trendy społeczne. Tak czy inaczej, w najbliższych latach, jeśli nie wybuchnie oddolny ruch kontestacji, możemy się spodziewać, że debata polityczna będzie w ogromnej mierze koncentrowała się na tematach obyczajowych – jak zresztą przez minione 20 lat, przy czym teraz w jeszcze brutalniejszej postaci. Im więcej będzie tu emocji, tym mniej miejsca prawdopodobnie pozostanie na sprawy

społeczno-ekonomiczne.

Co ciekawe, dotychczas ruchy wyraziste w sferze kulturowej przekraczały próg parlamentarny raczej gdy wywodziły się z prawej strony. Nieraz swe poparcie zawdzięczały umiejętnemu przełożeniu frustracji ekonomiczno-społecznych na gniew kulturowy oraz anty-establishmentowy (Amerykanie określają to zjawisko mianem backlash). Teraz podobny fenomen powstał nie tyle z lewej, co z liberalnej, antyklerykalnej strony. Może mieć to głębsze ekonomiczne źródła, które powinny być sygnałem alarmowym. Okazuje się bowiem, że obecnie frustracja społeczna i ekonomiczna poszerza swój zakres także o klasy średnie, przynajmniej w sensie kulturowym. W gniewie są nie tylko biedni, niewykształceni, ze środowisk peryferyjnych, którzy znaleźli się za burtą rozwoju społeczno-ekonomicznego.

Dołączyli do nich także młodzi z dużych miast, którzy inwestowali w swoje wykształcenie, ale nie mają jak go zdyskontować na rynku pracy, nie posiadają też szans na godziwe życie, obiecywane im w Polsce doby transformacji. Jak czytamy w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, co dziesiąty bezrobotny ma wykształcenie wyższe. Co więcej, w tej grupie dynamika wzrostu bezrobocia jest szczególnie wysoka. W ostatnim roku liczba bezrobotnych z dyplomem wyższych uczelni wzrosła o 11,6% – szybciej niż to miało miejsce wśród osób z niższym wykształceniem. [3] Dla części z nich Palikot, choć nie proponuje realnej alternatywy, jest światopoglądowo bliski, a to, że proponuje proste, wyraziste hasła jako odpowiedź na złożone problemy, jedynie przysparza mu popularności. Nie odpowiada im narodowo-katolicki populizm, więc wybierają populizm liberalny.

Zjawiska te zatem można odczytywać jako rozlewanie się frustracji na kolejne warstwy społeczne, zaś popularność Ruchu Poparcia Palikota jako znak trendów nie tylko kulturowych, ale także społeczno-ekonomicznych. Wątpliwe jednak, by mógł on się przyczynić do owych trendów odwrócenia. Jest to więc doraźna „przykrywka” realnych problemów, które – nierozwiązane – będą

narastać pod powierzchnią systemu politycznego.

Jeśli chcemy uniknąć dryfu rozwojowego, a także buntu społecznego czy politycznego, potrzebny jest program całościowego zmierzenia się z cywilizacyjnymi wyzwaniami, jak wspomniane nierówności, demografia i prekariat. Tymczasem im dalej jesteśmy od ostatniej kampanii, tym mniej w debacie politycznej miejsca na problemy społeczne. Warto mieć jednak świadomość, że może to okazać się cisza przed burzą. Przed burzą oburzonych.

Autor: Rafał Bakalarczyk

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Höögskolan Dalarna (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją, skandynawskim modelem dobrobytu oraz mechanizmami dialogu społecznego. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski jest mu duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

PRZYPISY

[1] <http://www.oecd.org/dataoecd/32/20/47723414.pdf>, s.11

[2] <http://lewica.pl/?id=25269>

[3] J. K. Kowalski, Wysoko kształceni bezrobotni, DGP, 7 listopada 2011.